



„JACEK DYZIO”

Lille, 15 września 1945 r.

Szanowna Pani

Dziwnym zbiegiem okoliczności w dniu dzisiejszym wpadł mi w ręce kurier polski „Rzeczpospolita” z 24 sierpnia 1945 r. Dziwnym dlatego, że pisma z Polski do Polaków przebywających tu we Francji nie dochodzą.

Przeczytałem Pani ogłoszenie o poszukiwaniu Ryszarda Żywieckiego. Imienia nie pamiętam, lecz za to powierzchownie opiszę go. Dosyć wysoki, dobrze zbudowany, przystojny blondyn (włosy ładnie kręciły się lub były karbowane), przebywał na oddziale XI (jedenastym), pracował zaś w introligatorni więziennej. Jeżeli to, co wyżej podaję, zgadza się z Pani poszukiwanym, to ów Żywiecki został zastrzelony przez SS-manów strzałem z pistoletu z tyłu w kark. Jestem jednym z tych niewielu, który wszystko widział i cudem ocalał.

Chcąc wyjaśnić wiele ciemnych punktów całej tragedii, opiszę to teraz Pani, z prośbą o opublikowanie w gazetach, żeby rodziny tych, co zostali zamordowani, wiedzieli, gdzie mają szukać ich ciał.

Całkowitą winę za śmierć około 600 więźniów Polaków ponoszą wyłącznie tylko polskie władze więzienne Mokotowa z inspektorem Szperlakiem na czele. Kiedy zwycięskie wojska rosyjskie zbliżały się do Warszawy, Niemcy w godzinach popołudniowych 23 lipca (niedziela) zaczęli zwalniać wszystkich więźniów Niemców i volksdeutschów i do wieczora 24 lipca (poniedziałek) zwolnili ich wszystkich, tj. około 500.

Następnego dnia rozpoczęło się zwalnianie Polaków. Początkowo szło wszystko szybko i składnie. Wieść o zwalnianiu więźniów rozeszła się błyskawicznie po mieście i setki matek, ojców, żon, braci i siostr stały na ulicy Rakowieckiej przed bramą więzienia, oczekując naswoich najbliższych.

Polskie władze więzienne, widząc, co się święci, chwyciły się środka ostatecznego. Zaczęli brać łapówki i zwalniać więźniów już nie po kolei według prawa, lecz według gotówki, którą

płacili członkowie rodzin, pragnący jak najszybciej wyciągnąć swoich najbliższych z piekła mokotowskiego. Szarą eminencją w tym „zwalnianiu” był wspomniany inspektor Szperlak. Nic dziwnego, że szło coraz wolniej i najważniejsze, że ci, co mieli wyroki duże, jak trzy i cztery lata, a do odsiedzenia jeszcze ze dwa lata, zostali zwolnieni wcześniej, bo rodziny ich sprzedawały wszystko z domu i płaciły każdą cenę polskim łapownikom. Ci biedni i mali, co mieli do odsiedzenia miesiące, tygodnie, a nawet i dni, byli trzymani, bo albo rodziny ich zamało płaciły, lub też nie mieli z czego płacić i czekali, łudząc się nadzieją, że w końcu polskie władze więzienne opamiętają się i zwolnią.

Niemiecki zarząd więzienia przebywał stale na mieście, pakując się do ucieczki. Niestety, z każdym dniem było coraz gorzej. Wysokość łapówki rostała, a liczba zwalnianych zmniejszała się. Rodziny tych niezamożnych, widząc, co się dzieje, zaczęły nalegać na szybsze zwalnianie. Kiedy zrobiło się głośno, sprawa ta doszła do uszu niemieckiego zarządcy więzienia i ten za karę kazał wstrzymać zwalnianie więźniów 27 lipca o 4.00 po południu. Polskie władze więzienne przez półtora dnia zwolniły około 500 Niemców (bez łapówek), natomiast Polaków przez trzy dni zwolniono nie więcej jak 300. Praca przy zwalnianiu i wypisywaniu tak Niemców, jak i Polaków, była jednakowa. Dlaczego taka szalona różnica? W dniach 28, 29, 30 i 31 lipca nie został zwolniony ani jeden więzień.

1 sierpnia około godz. 16.00 zwolniono jedenastu więźniów i sam inspektor Szperlak raczył łaskawie przemówić do więźniów siedzących w oknach i rzucających pod jego adresem klątwy, że od jutra, od 2 sierpnia, będą już normalnie zwalniać wszystkich. Tych jedenastu wychodzących na wolność przywitał wybuch powstania warszawskiego. Gdyby nie powstanie, na pewno by nas zwolnili, wierzę w to święcie, lecz cztery dni przerwy i wyciąganie łapówek w ciągu trzech dni, kiedy wszyscy mogliśmy być zwolnieni, zrobiło swoje.

2 sierpnia od rana gmach więzienia został przejęty przez wojska SS. Po południu żołnierze wyprowadzili więźniów z oddziałów 1 i 2 i kazali im kopać doły długości 25 – 30 metrów szerokości i około 2 metrów głębokości wzdłuż pawilonu X, po stronie pralni. Dołów takich wykopano trzy. Reszta więźniów widziała te prace z okien swoich cel i nie sądziła nawet, doczego one mogą służyć.

Około godz. 16.00 żołnierze SS uzbrojeni w steny i pistolety na wierzchu, z granatami za pasem, spisali dokładny stan każdej celi. W krótkim czasie po tym dziesięciu Niemców

SS stanęło nad dołem z pozawijanymi rękawami mundurów w odstępach 2 – 3 metrów od siebie i zaczęli pić czystą wódkę z pełnych butelek litrowych, niczym nie przekąszając. Po chwili inni Niemcy zaczęli wyprowadzać więźniów, trzymając ich za wykręconą rękę na plecach. Po doprowadzeniu na brzeg dołu każdy z więźniów otrzymywał strzał w kark od tyłu, zwalając się w dół. Nie wszyscy więźniowie byli zabici od jednego strzału. Tych, co jeszcze żyli, zasypywano strzałami znad dołu.

Niemcy przez cały czas egzekucji byli pijani, krzyczeli i kopali więźniów, a jeden z nich nawet skoczył do dołu i ściągnął buty z cholewami (oficerki) już zabitemu. Na pierwszy ogień poszły oddziały 1 i 2, tzw. śledcze. Zabitych między innymi zostało kilku chłopaków po 12 – 14 lat. Następną grupą była izba chorych. Kiedy zaczęła się egzekucja, więźniowie podnieśli ogromny wrzask, wołając o pomoc ze strony powstańców. Krzyk ten usłyszeli chorzy będący w oddzielnym budynku i lżej chorzy po prześcieradłach wdrapali się na strych, a w nocy uciekli przez mur. Ciężko chorych Niemcy zmusili do wyjścia i nad dołem zastrzelili.

Następną grupą był oddział 8 – „recydywiści”, skoszarowany w pawilonie X, później oddział 10 – „duże wyroki” i oddział 11. Z oddziału 10 zabity został Czesław Wilk, mieszkający nad Wisłą w łazience kąpielowej St. Uziębły. Z oddziału 11 wspomniani wyżej Żywiecki, zecer Lewandowski, mieszkaniowiec Marymontu, Miętus z Żyrardowa lub Skierniewic (pracował w introligatorni), dwaj bracia Łukasiewicz, kolejarze. W następnej turze poszedł na zagładę oddział 3 – tzw. sanitarny, później oddział 5 – *bromverke*. Wszyscy zginęli. Następny miał być oddział 6, na którym byłem i ja (cela 32).

Widząc, co się dzieje, postanowiliśmy próbować ucieczki lub zginąć w walce. W czasie, kiedy trwała egzekucja, my przy pomocy ław wybiliśmy drzwi od celi na korytarz (cela 32 i 34, dokładnie już nie pamiętam). Na korytarzu podpalono sienniki i słomę uprzednio już wyrzucone, tworząc ogniową barykadę. Kiedy Niemcy zobaczyli, że cały korytarz jest w ogniu, otworzyli ogień ze stenów wzdłuż korytarza. Wszystkich drzwi od celi nie można było otworzyć, więc więźniowie powybijali dziury w ścianach między celami i w błyskawicznym tempie, nie będąc narażeni na ostrzał, mogliśmy swobodnie poruszać się wzdłuż całego oddziału 6. Niemcy, nie mogąc przez ogień przejść, wkroczyli na oddział 7. Z celi 36 ocalał tylko jeden, który zdążył ukryć się w sienniku. Po bohatersku zachowała się cela 37. Kiedy trzech Niemców weszło do niej, jeden z młodych chłopaków stawiał opór, a kiedy otrzymał postrzał i runął na asfalt celi, rozwścieczony Niemiec rzucił się na niego.

Było to jakby hasłem dla więźniów. Porwali za kubki, miski, noże – co kto miał pod ręką i dalej w Niemców. Dwaj Niemcy uciekli na korytarz, a w międzyczasie jeden z więźniów wyrwał granaty zza pasa ubitego już Niemca i rzucił je za uciekającymi. Po wybuchu granatów Niemcy uciekli na dół po pomoc (oddziały 6, 7 i 9 były na drugim piętrze), lecz więźniowie oddziału 6, korzystając z ich osłupienia, zbudowali potężną barykadę z żelaznych łózek (wyrwane ze ścian), stołów i ław, uniemożliwiając w ogóle dojście z dołu po schodach na nasze oddziały 6, 7 i 9. Dookoła barykady podłożone były sienniki ze słomą, ażeby nawypadek ataku podpalić je. W tym samym czasie ubitego Niemca z celi 37 wsadzono głową do ogromnej beczki z wodą stojącej na korytarzu, zabierając granaty i pistolet. Resztę drzwi na oddziale 7 piorunem wybito, po czym przystąpiliśmy do rozbijania drzwi oddziału 9, gdzie byli trzymani tzw. małolatki, do lat 17, czy 17. Tymczasem zapadł wieczór i po wybiciu wszelkich drzwi stojących na przeszkodzie oraz dziur w ścianach (gdzie nie było innego wyjścia) i dachu, po murach i dachach, wśród ulewnego deszczu w nocy z 2 na 3 sierpnia 1944 roku uciekliśmy na al. Niepodległości. Teoretycznie więc ocalał cały oddział 6 i 9, oraz 7 bez celi 36. Piszę teoretycznie, bo wielu zginęło jeszcze w czasie samej ucieczki, lub też później w powstaniu, jak np. Aleksy Kretkowski, student z celi 32, Bienias z celi 32 rozstrzelany przez Polaków (11 osób stwierdziło, że był konfidentem gestapo), Bolesław Krakowski z celi 32, tramwajarz, zginął w kanałach po kapitulacji Warszawy, i wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam. Rodziny więc tych, co znajdowali się na oddziałach 6, 7 i 9 mogą mieć 50 procent szans na powrót tych, co tam byli.

Sprawę tę opisałem dlatego, że mnie jako Polaka boli to bardzo, że za zachłanność naszych władz tylu więźniów zginęło niepotrzebnie. Może ktoś powie, że więźniów nie szkoda. Otóż dodam, że za wyjątkiem oddziału 8 wszyscy pozostali byli po raz pierwszy karani, przeważnie za nielegalny handel, wyrób bimbru, przemyt itp., a przecież każdy chciał żyć i przeżyć okupację niemiecką. Dużo było więźniów politycznych, których za łapówkę przerabiało się na kryminalistów tylko po to, aby uniknęli Pawiaka i Oświęcimia. Znajdzie się na pewno wiele osób, świadków postępowania naszych władz więziennych w pamiętnych dniach lipca roku 1944, którzy stwierdzą, że to, co wyżej podałem, jest zgodne z prawdą w zarysach grubszych tylko, natomiast wiele, wiele mniejszych spraw pozostawiam już tym, co są w Polsce, niech i oni dorzucą to, co widzieli i wiedzą.

„Jacek Dyzio”

cela 32



P.S. Nazwiska swego nie podaję, bo i tak w chwili obecnej nie ma to żadnego znaczenia. Moi znajomi nie wiedzieli, że i ja siedziałem w więzieniu, nie chcę więc, by teraz dowiedzieli się tego z gazet. Po przyjeździe do Polski sprawę tę jeszcze raz poruszę. Podpis mój u góry znany jest tylko tym więźniom, którzy przebywali ze mną razem w celi 24, a później w 32, nazwisko moje więc jest im znane. Sam przyjazd do Polski obecnie jest niemożliwy w związku z brakiem środków transportowych. Prawdopodobnie dopiero na wiosnę roku przyszłego.